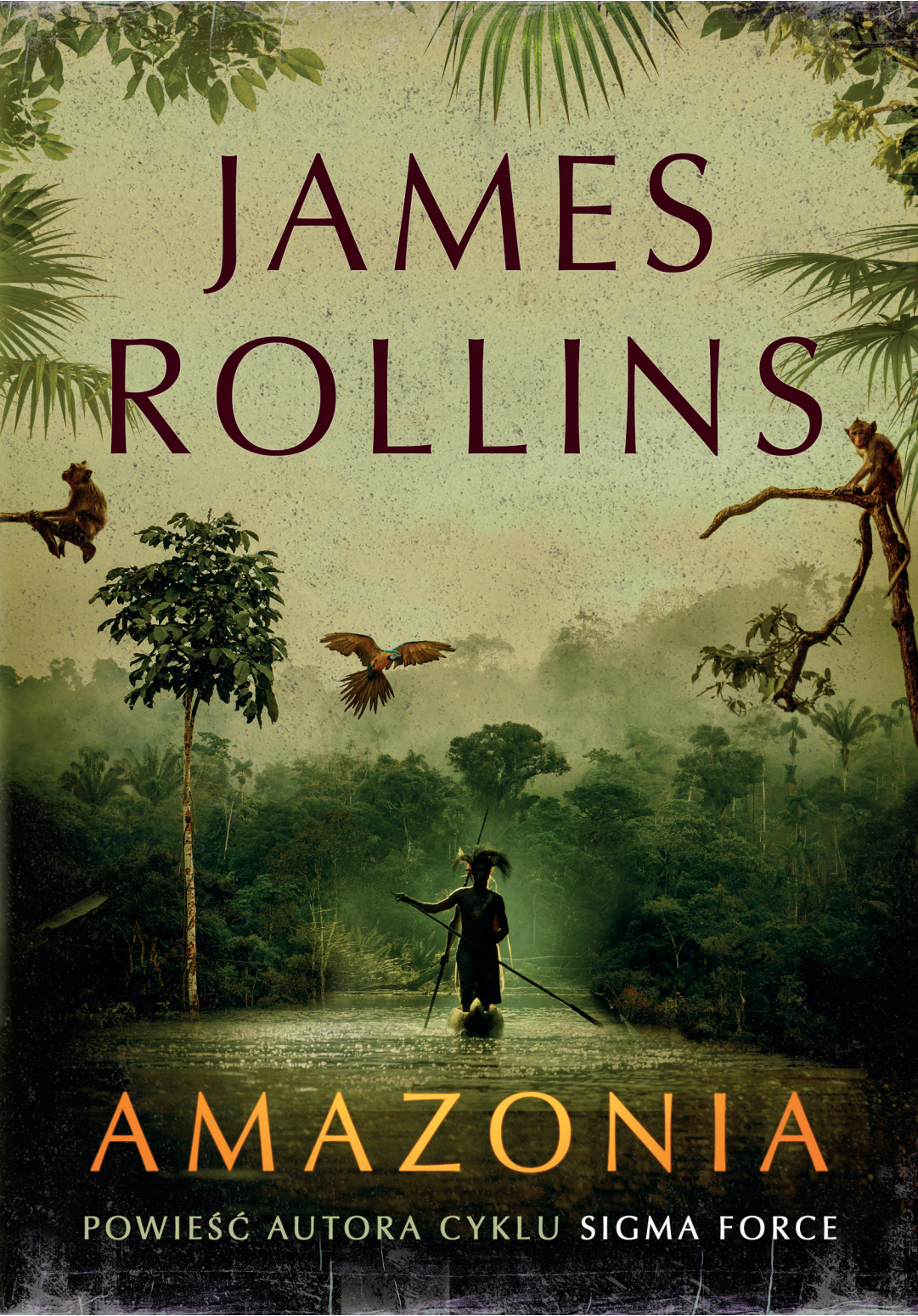




JAMES ROLLINS

AMAZONIA

POWIEŚĆ AUTORA CYKLU SIGMA FORCE

Prolog

25 LIPCA, GODZ. 6.24
INDIAŃSKA WIOSKA MISYJNA
REJON AMAZONKI, BRAZYLIA

Kiedy obcy wytoczył się z dżungli, padre Garcia Luiz Batista pielął chwasty w ogrodzie misji. Mężczyzna miał na sobie jedynie porwane czarne spodnie i był bosy. Padł na kolana między rzędami kielkującego manioku. Jego skóra, spalona słońcem, była wytatuowana w niebieskie i czerwone wzory.

Padre Batista wziął przybysza za jednego z tutejszych Indian Yanomami, więc odsunął na tył głowy słomkowy kapelusz z szerokim rondem i pozdrowił go w ich języku.

— *Eou, shori* — powiedział. — Witaj, przyjacielu, w misji Wauwai.

Nieznajomy uniósł głowę i Garcia natychmiast dostrzegł swój błąd. Oczy mężczyzny były ciemnoniebieskie — nie był to kolor oczu Indian z amazońskich plemion. Miał też kilkutygodniowy ciemny zarost.

Zdecydowanie nie był to Indianin, ale biały.

— *Bemvindo* — powiedział Batista po portugalsku, sądząc, że nieznajomy może być jednym z wieśniaków, którzy przybyli do amazońskiego lasu deszczowego z przybrzeżnych miast w poszukiwaniu lepszego życia. — Witam cię w naszej misji, przyjacielu.

Nietrudno było się domyślić, że biedak od dawna jest w dżungli. Skóra tak ciasno opinała klatkę piersiową, że widać było każde żebro. Jego czarne włosy były potargane, a ciało

pokrywały liczne cięcia i ropiejące rany. Unosiła się nad nim chmara brzęczących much.

Kiedy spróbował coś powiedzieć, spieczone wargi popękały i zaczęła się z nich sączyć krew. Pełził w kierunku padre, błagalnie unosząc rękę. Bełkotliwe słowa, jakie wypowiadał, były zupełnie niezrozumiałe.

W pierwszym odruchu Garcia chciał się odsunąć, ale nie pozwoliło mu na to jego powołanie. Dobry chrześcijanin nigdy nie odmawia pomocy zbłąkanemu wędrowcy. Pochylił się i pomógł mężczyźnie wstać. Przybysz był tak wyniszczony, że ważył niewiele więcej od dziecka. Nawet przez materiał koszuli padre czuł, że nieznajomy ma gorączkę.

— Chodź do środka, zejdźmy ze słońca — powiedział i poprowadził gościa w kierunku kościoła, którego wyblakła wieża wbijała się w błękitne niebo. Za kościołem, na wyrąbanej w dżungli polanie, znajdowała się wioska — bezładna mieszanina pokrytych palmowymi liśćmi chat i drewnianych domków.

Misja Wauwai miała pięć lat, ale wioska liczyła już niemal osiemdziesięciu mieszkańców, członków różnych miejscowych plemion. Niektóre chaty stały na palach, typowych dla Indian Apalai, inne, z drewna i liści palm, zbudowali Indianie Waiwai i Tiriós. Najwięcej było tu jednak Indian Yanomami, którzy mieszkali w wielkim wspólnym okrągłym domu.

Garcia pomachał wolną ręką jednemu z nich, stojącemu na skraju ogrodu. Był to Henaowe, jego pomocnik. Indianin miał na sobie spodnie i koszulę z długimi rękawami.

— Pomóż mi zaprowadzić tego człowieka do domu — powiedział padre, kiedy Henaowe podszedł bliżej.

Indianin kiwnął głową i stanął po drugiej stronie przybysza. Trzymając go we dwóch, przeszli przez bramę ogrodu, obeszli kościół i skierowali się do przylegającej do jego południowej ściany przybudówki. Tylko mieszkania misjonarzy były wyposażone w generator, który zapewniał oświetlenie kościołowi oraz zasiliał lodówkę i jedyną we wsi klimatyzację. Czasami Garcia zastanawiał się, czy to, że Indianie tak chętnie przychodzą do kościoła, wynika z płynącej z głębi serca wiary w zbawienie przez Chrystusa, czy może raczej jest zasługą

panującego w kościele chłodu.

Kiedy dotarli do przybudówki, Henaowe otworzył drzwi i przeciągnęli obcego przez jadalnię do pokoju w głębi. Mieszkał w nim jeden z akolitów misji, jednak dwa dni temu wszyscy młodszy misjonarze pojechali do sąsiedniej wioski z wizytą ewangeliczną. Pokoik był ciasny i ciemny, ale było w nim chłodno.

Garcia polecił Henaowe, by zapalił lampę naftową — do mniejszych pomieszczeń elektryczność nie została doprowadzona. Światło wystraszyło pająki i karaluchy, które natychmiast uciekły w ciemność.

Podnieśli mężczyznę i położyli go na łóżku.

— Pomóż mi go rozebrać. Muszę oczyścić jego rany i opatrzyć je.

Henaowe kiwnął głową, ale kiedy pochylił się nad chorym, nagle zamarł, a potem głośno westchnął i odskoczył do tyłu, jakby zobaczył skorpiona.

— *Weti kete?* — spytał Garcia. — Co się stało?

Oczy Henaowe były szeroko otwarte z przerażenia. Wskazał na pierś leżącego na łóżku człowieka i zaczął coś szybko mówić w języku swojego plemienia.

Garcia zmarszczył czoło.

— O co chodzi?

Niebieskie i czerwone rysunki tatuażu składały się z geometrycznych kształtów: okręgów, drżących esów-floresów i poszarpanych trójkątów. Pośrodku znajdowała się czerwona spirala, przypominająca spływającą z rany krew. Tuż nad pępkiem mężczyzny widniał niebieski „odcisk” dłoni.

— *Shawara!* — krzyknął Henaowe i cofnął się do drzwi.

Złe duchy.

Garcia popatrzył na swojego pomocnika. Sądził, że Indianin pozbył się już przesądów.

— Dość tego! — powiedział surowo. — To tylko farba, a nie dzieło diabła. Podejdź i pomóż mi go rozebrać.

Ale Henaowe pokręcił głową, nie ruszając się z miejsca.

Chory jęknął i padre pochylił się nad nim. Mężczyzna miał szkliste od gorączki oczy, majaczył i słabo uderzał rękami w prześcieradło. Garcia dotknął jego czoła. Płonęło. Znowu

zwrócił się do Henaowe:

— W takim razie przynieś mi przynajmniej apteczkę i penicylinę z lodówki.

Indianin odszedł z wyraźną ulgą.

Garcia westchnął. Mieszkał w amazońskim lesie deszczowym od dziesięciu lat i musiał opanować wiele podstawowych umiejętności medycznych: zakładanie łubków, czyszczenie ran i nakładanie na nie maści, leczenie gorączki. Umiał nawet przeprowadzać najprostsze zabiegi, takie jak zszywanie ran czy pomaganie przy trudnych porodach. Jako przełożony misji był nie tylko opiekunem dusz jej mieszkańców, ale także ich doradcą i lekarzem.

Zdjął mężczyźnie brudne spodnie i odłożył je na bok. Dżungla dokonała wielkich spustoszeń na ciele chorego. W głębokich ranach wiły się robaki. Paznokcie stóp były niemal całkowicie zjedzone przez łuskowate zakażenie grzybicze, a blizna na pięcie informowała o starym ukąszeniu przez węża.

Zastanawiał się, kim jest nieznamy. Może miał w dżungli rodzinę? Niestety wszelkie próby porozumienia się uniemożliwiał deliryczny bełkot mężczyzny.

Wielu wieśniaków, którzy z trudem wiązali koniec z końcem, kończyło tragicznie z rąk wrogo nastawionych Indian, złodziei, handlarzy narkotyków albo leśnych drapieżników, jednak najczęstszą przyczyną zgonów osiedleńców były choroby. Pomoc medyczna mogła dotrzeć do tych odludnych zakątków deszczowego lasu dopiero po wielu tygodniach i często nawet zwykła grypa kończyła się śmiercią.

Od drzwi dobiegło szuranie stóp o drewno. Wrócił Henaowe z apteczką i wiadrem czystej wody. Nie był sam. Za nim stał Kamala, *shapori*, plemienny szaman. Henaowe musiał po niego pobiec.

— *Haya*, dziadku — powitał go Garcia. Tak zwykle witano ludzi ze starszyzny Yanomami.

Kamala podszedł do łóżka, spojrzał na leżącego i zmrużył oczy. Odwrócił się do Henaowe i dał mu znak, aby odstawił apteczkę i wiadro. Uniósł ręce nad obcym i zaczął coś śpiewnie mówić. Garcia znał wiele miejscowych dialektów, ale nie rozumiał ani słowa z tej przemowy.

Kiedy Kamala skończył mówić, odwrócił się do niego.

— Ten *nabe* został dotknięty przez *shawara*, niebezpieczne duchy z głębokiego lasu — powiedział po portugalsku. — Umrze jeszcze tej nocy. Jego ciało trzeba spalić przed wschodem słońca — dodał, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia.

— Chwileczkę! Powiedz mi, co oznaczają te tatuaże.

— Są znakiem plemienia Ban-ali — odparł szaman. — Krwawych Jaguarów. Ten człowiek należy do nich. Nikomu nie wolno pomagać *ban-yi*, niewolnikowi jaguarów. To oznacza śmierć — dodał, po czym zrobił gest odganiający złe duchy, dmuchnął na palce i wyszedł.

Henaowe wyszedł za nim.

Garcia poczuł chłód, który wcale nie płynął z klimatyzacji. Słyszał nieraz o Ban-ali, jednym z mitycznych plemion-duchów z głębin dżungli. Byli to ludzie, którzy parzyli się z jaguarami i posiadali niewyobrażalną moc.

Pocałował krucyfiks i odsunął na bok przesądne myśli. Nasączył gąbkę wodą i przyłożył ją do popękanych warg leżącego.

— Pij — powiedział.

W dżungli jedną z najczęstszych przyczyn śmierci jest odwodnienie.

Wycisnął gąbkę i nakapał wody do ust chorego.

Obcy zareagował jak niemowlę, któremu matka podała pierś. Zaczął odruchowo ssać, ale tak dyszał, że omal się nie zakrztusił. Garcia uniósł mu głowę. Po kilku minutach gorączka nieco spadła. Mężczyzna zaczął drapać palcami, jakby szukał gąbki, ale Garcia mu jej nie dał. Zbyt dużo picia po odwodnieniu mogłoby tylko zaszkodzić.

— Odpocznij, *senhor*. Pozwól, że oczyszczę ci rany i wsmaruję w nie trochę antybiotyku.

Ale chory chyba tego nie zrozumiał. Próbował usiąść, sięgnął po gąbkę i zaczął coś bełkotać. Kiedy Garcia popchnął go lekko na poduszkę, głośno westchnął i padre wreszcie zrozumiał, dlaczego mężczyzna nie może mówić.

Nie miał języka. Obcięto mu go.

Garcia przygotował strzykawkę z ampicyliną i pomodlił się

za dusze potworów, które potrafiły zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi. Termin ważności lekarstwa już minął, ale nic lepszego nie miał. Wstrzyknął antybiotyk w pośladek chorego, po czym zajął się jego ranami.

Obcy wciąż oscylował między jawą i delirycznymi majakami. Gdy odzyskiwał przytomność, sięgał po spodnie, jakby zamierzał się ubrać i kontynuować swoją wędrówkę, ale Garcia za każdym razem przyciskał go do materaca i przykrywał kocami.

Kiedy słońce zaszło i zapadła noc, wziął Biblię i zaczął modlić się za chorego. W głębi duszy wiedział jednak, że jego modlitwy nie zostaną wysłuchane. Szaman Kamala miał rację. Przybysz nie przeżyje nocy.

Na wszelki wypadek — gdyby mężczyzna był chrześcijaninem — godzinę temu dał mu ostatnie namaszczenie. Kiedy znaczył mu czoło olejem, chory zadrżał, ale się nie ocknął. Jego czoło nadal płonęło gorączką. Antybiotykwowi nie udało się pokonać zakażenia.

Choć Garcia wiedział, że śmierć nieznajomego jest tylko kwestią godzin, wciąż przy nim czuwał. Nic więcej nie mógł zrobić dla tej zbłąkanej duszy. Gdy zaczęła zbliżać się północ i dżungla obudziła się z chóralnym cykaniem szarańczy i kumkaniem niezliczonych żab, zasnął na krześle z Biblią na kolanach.

Kilka godzin później obudził go zduszony krzyk chorego. Natychmiast wstał, zrzucając Biblię na podłogę. Kiedy się po nią pochylił, zobaczył, że umierający wpatruje się w niego. Nadal miał szkliste oczy, ale gorączka minęła. Uniósł drżącą dłoń i wskazał swoje spodnie.

— Nie możesz nigdzie iść — powiedział Garcia.

Mężczyzna zamknął na chwilę oczy, pokręcił głową i z błagalnym spojrzeniem znowu wskazał na spodnie.

Garcia uznał, że nie może odmówić ostatniej prośbie umierającego, i przyniósł mu je.

Chory zaczął przesuwając palcami wzdłuż wewnętrznego szwu nogawki. Po chwili zatrzymał się na kilkucentymetrowym odcinku i drżącymi rękami wyciągnął spodnie w kierunku Garcii.

Padre pomyślał, że chory znów traci przytomność, bo jego oddech stał się urywany i chrapliwy. Doszedł do wniosku, że powinien spełnić jego zachciankę. Wziął spodnie i pomacał w tym samym miejscu.

Wyczuł pod palcami coś sztywnego, ukrytego pod szwem. Sekretna kieszonka...

Zaciekawiony, wyjął z apteczki nożyczki. Mężczyzna z westchnieniem opadł na poduszkę, najwyraźniej zadowolony, że jego przekaz został zrozumiany.

Garcia przeciął szew i otworzył ukrytą kieszonkę. Włożył w nią palec i wydobyl monetę z brązu. Uniósł ją do lampy. Na monecie było wyryte nazwisko.

— Gerald Wallace Clark — przeczytał na głos. Czy to nazwisko obcego? — To ty, *senhor*?

Spojrzał na łóżko.

— Święty Jezu...

Mężczyzna wbijał pusty wzrok w sufit. Jego usta były otwarte, a pierś znieruchomiła. Wyzionął ducha w chwili, gdy przestał być bezmienny.

— Spoczywaj w pokoju, *senhor* Clark — powiedział Garcia.

Ponownie uniósł monetę do lampy i odwrócił ją na drugą stronę. Zaszło mu w ustach, kiedy zobaczył znajdujący się na niej napis:

SIŁY SPECJALNE ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH

1 SIERPNIA, GODZ. 10.45
KWATERA GŁÓWNA CIA
LANGLEY, WIRGINIA

Telefon zaskoczył George'a Fieldinga. Jako zastępca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej często był wzywany przez szefów różnych wydziałów na pilne spotkania, ale telefon o priorytecie numer jeden od Marshalla O'Briena, dyrektora Centrum Środowiskowego, był czymś niezwykłym. DEC zostało założone w 1997 roku jako dział wspólnoty wywiadowczej, mający zajmować się zagadnieniami

dotyczącymi ochrony środowiska naturalnego, ale do tej pory żaden szef DEC nie wykonał takiego telefonu. Tego typu telefony były zastrzeżone dla spraw związanych z bezpieczeństwem narodowym. Co mogło skłonić Stare Ptaszyisko — jak nazywano Marshalla O'Briena — do podniesienia takiego alarmu?

Ruszył szybko korytarzem, łączącym stary budynek kwatery głównej z nowym. „Nowy” obiekt został zbudowany pod koniec lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku i znajdowała się w nim większość wydziałów agencji — z DEC włącznie.

Patrzył na oprawione w ramy portrety, zdobiące długi korytarz — przedstawiające wszystkich wcześniejszych dyrektorów CIA, poczynając od generała-majora Donovana, dyrektora Biura Służb Strategicznych — poprzednika CIA z okresu drugiej wojny światowej. Któregoś dnia do tej kolekcji dodany zostanie również portret szefa Fieldinga, a jeżeli on sam będzie mądrze pogrywał, przejmie po nim pierwsze skrzypce.

Po chwili był już w „nowym” budynku i po przejściu kilku kolejnych korytarzy stanął przed ciągiem gabinetów DEC. Zaraz za głównym wejściem powitała go sekretarka.

— Pan O'Brien czeka na pana — powiedziała, po czym podeszła do mahoniowych drzwi, lekko zapukała i pchnęła drzwi.

— Dziękuję pani.

Powitał go basowy, toczący się jak grzmot głos:

— Dziękuję, panie dyrektorze, że zechciał pan do mnie przyjść.

Marshall O'Brien wstał z fotela. Był wysokim mężczyzną o srebrnych włosach. Wielkie biurko wydawało się przy nim małe. Wskazał gościowi krzesło.

— Proszę usiąść. Wiem, że pański czas jest bardzo cenny, więc nie chcę go marnować.

Jak zwykle od razu do sedna, pomyślał Fielding. Przed czterema laty krążyły pogłoski, że Marshall O'Brien może zostać mianowany dyrektorem CIA. Był zastępcą dyrektora agencji przed Fieldingiem, ale swoją zasadniczą postawą zraził do siebie zbyt wielu senatorów, a kolejne mosty spalił sztywnym

podejściem do tego, co uczciwe i co nieuczciwe. W ten sposób nie uprawia się polityki w Waszyngtonie, więc choć był teraz dyrektorem Centrum Środowiskowego, niewiele znaczył. Jego nagły telefon był prawdopodobnie próbą udowodnienia samemu sobie, że ciągle jest w grze.

— O co chodzi? — spytał Fielding.

O'Brien usiadł i otworzył leżącą na biurku szarą teczkę. Odchrząknął.

— Dwa dni temu do agencji konsularnej w Manaus w Brazylii zgłoszono znalezienie ciała Amerykanina. Zmarły został zidentyfikowany na podstawie monety weryfikacyjnej oddziału Sił Specjalnych, w którym kiedyś służył.

Fielding zmarszczył czoło. Monety weryfikacyjne nosiło członków wielu amerykańskich formacji wojskowych. Były nie tyle identyfikatorem, co tradycją. Członek oddziału — obecny lub były — który nie miał przy sobie swojej monety, musiał postawić kolegom kolejkę.

— Co to ma wspólnego z nami?

— Ten zmarły mężczyzna to nie tylko były żołnierz Sił Specjalnych. To jeden z moich ludzi. Agent Gerald Clark.

Fielding zamrugał z zaskoczenia.

— Pod pretekstem uczestnictwa w wyprawie naukowej agent Clark został wysłany do basenu Amazonki w celu zbadania zasadności skarg dotyczących niszczenia środowiska przez poszukiwaczy złota oraz zebrania informacji na temat transportu przez ten region boliwijskiej i kolumbijskiej kokainy.

Fielding wyprostował się.

— I został zamordowany, tak? O to chodzi?

— Nie. Sześć dni temu agent Clark pojawił się w leżącej głęboko w dżungli misjonarskiej wiosce, półprzytomny z gorączki i wycieńczenia. Padre z misji próbował mu pomóc, ale po kilku godzinach Clark zmarł.

— To bardzo smutne, ale jakie to ma znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego?

— Cóż... chodzi o to, że agent Clark zaginął cztery lata temu. — O'Brien przesunął po blacie biurka faks artykułu z gazety.

Fielding wziął kartkę do ręki.

— Cztery lata temu?

EKSPEDYCJA GINIE W AMAZOŃSKIEJ DŻUNGLI

Associated Press

MANAUS, BRAZYLIA, 20 MARCA — Poszukiwania milionera i przemysłowca doktora Carla Randa oraz jego międzynarodowego zespołu trzydziestu naukowców i przewodników zostały zawieszone po trzech miesiącach intensywnych poszukiwań. Członkowie wyprawy — połączonego przedsięwzięcia Amerykańskiego Narodowego Instytutu Badań nad Rakiem oraz Fundacji Indian Brazylijskich — zniknęły w lesie deszczowym, nie pozostawiając żadnej wskazówki co do swojego losu.

Celem ekspedycji było przeprowadzenie spisu liczby Indian i plemion, żyjących w lasach Amazonii. Trzy miesiące po opuszczeniu znajdującego się w sercu dżungli miasta Manaus codzienne raporty, przekazywane z terenu za pomocą radia, nagle zostały przerwane. Wszelkie próby nawiązania kontaktu z ekspedycją nie odniosły skutku. Do ostatniego znanego miejsca jej pobytu wysłano helikoptery ratunkowe, nikogo tam jednak nie znaleziono. Dwa tygodnie później odebrano ostatni komunikat: „Przyślijcie pomoc... nie wytrzymamy dłużej. Boże, są wszędzie wokół nas...”. Potem ekspedycja została pochłonięta przez dżunglę.

Po trzech miesiącach intensywnych poszukiwań i nagłaśniania sprawy w mediach komandor Ferdinand Gonzales, dowódca ekipy ratunkowej, uznał członków ekspedycji za „zagubionych i najprawdopodobniej martwych”. Poszukiwania zostały odwołane.

Obecnie śledczy są zgodni co do tego, że ekspedycja musiała zostać napadnięta przez wrogo nastawione plemię albo natknęła się na tajną bazę handlarzy narkotyków. W każdym razie raczej nie można już liczyć na to, że którykolwiek z uczestników wyprawy się odnajdzie. Należy podkreślić, że w dżungli amazońskiej co roku znika wielu badaczy, naukowców i misjonarzy.

— Boże drogi... — wymamrotał Fielding.

O'Brien wyjął artykuł z jego dłoni.

— Po zniknięciu ekspedycji żaden z uczestników nie nawiązał z nami kontaktu. Agent Clark został uznany za zmarłego.

— To na pewno ten sam człowiek?

O'Brien kiwnął głową.

— Opis zębów i odciski palców mężczyzny zmarłego w misji pasują do tego, co zawierają akta Clarka.

Fielding znowu pokręcił głową.

— Niezależnie od tego jak bardzo to przykre, w dalszym ciągu nie widzę w tym nic, co mogłoby dotyczyć bezpieczeństwa narodowego.

— Pewnie bym się z panem zgodził, gdyby nie jedna rzecz...

— O'Brien zajął do teczek i wyciągnął z niej dwa zdjęcia. Podał Fieldingowi pierwsze z nich. — Zostało zrobione kilka dni przed wyruszeniem ekspedycji — dodał.

Fielding popatrzył na ziarnistą fotografię człowieka ubranego w lewisy, koszulę w hawajskie wzory i tropikalny kapelusz. Mężczyzna był szeroko uśmiechnięty i trzymał w dłoni drinka.

— To agent Clark?

— Tak. Zdjęcie zostało zrobione przez jednego z naukowców podczas przyjęcia zorganizowanego z okazji startu ekspedycji. — O'Brien podał mu drugą fotografię. — A to wykonano w kostnicy w Manaus, gdzie w tej chwili jest ciało.

Fielding z niechęcią wziął do ręki błyszczącą odbitkę. Oglądanie zwłok zawsze przyprawiało go o mdłości, ale nie miał wyjścia. Ciało na fotografii było nagie i leżało na stole z nierdzewnej stali — wychudzony, obciągnięty skórą szkielet. Na klatce piersiowej widać było dziwne tatuaże, ale rysy twarzy wskazywały, że to ta sama osoba. Fielding poprosił o pierwszą fotografię i porównał je. Była jednak pewna różnica...

O'Brien musiał zauważyć zmianę wyrazu jego twarzy, bo powiedział:

— Dwa lata przed zniknięciem, podczas misji zwiadowczej w Iraku, agent Clark dostał w lewe ramię postrzał od snajpera — powiedział. — Zanim zdążył dotrzeć do amerykańskiego obozu, wdała się gangrena. Kończynę trzeba było amputować

przy samym barku, co zakończyło jego karierę w Siłach Specjalnych.

— Ale ciało w kostnicy ma obie ręce.

— Właśnie. Odciski palców z tej ręki zwłok, której nie powinno być, pasują do danych z akt sprzed postrzału. Wygląda na to, że agent Clark dotarł do Amazonii z jednym ramieniem, a wyszedł z niej z dwoma.

— Ale to przecież niemożliwe! Co tam się stało?

Marshall O'Brien patrzył na niego przez chwilę swoimi jastrzębimi oczami.

— Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć — powiedział.

AKT PIERWSZY

Misja



KURARA

rodzina: miesięcznikowate (*Menispermaceae*)

rodzaj: *Chondrodendron*

gatunek: *Tomentosum*

powszechnie używana nazwa: kurara

wykorzystywane części: liść, korzeń, żywica

właściwości/działanie: moczopędne, przeciwgorączkowe,
zwiątaczające mięśnie, tonizujące, paraliżujące

1

Olej węża

6 SIERPNIA, GODZ. 10.11
DŻUNGLA AMAZOŃSKA, BRAZYLIA

Anakonda trzymała indiańską dziewczynkę w swoich potężnych splotach i ciągnęła ją w stronę rzeki.

Nathan Rand usłyszał jej krzyki, kiedy wracał do wioski Yanomami po porannych zbiorach leczniczych ziół. Rzucił na ziemię torbę i ruszył na pomoc, ściągając w biegu z ramion krótkolufą strzelbę. Każdy, kto wędruje samotnie po dżungli, nosi broń.

Przedarł się przez gęstą zasłonę gałęzi i ujrzał węża z dziewczynką. Połowa ciała anakondy — jednej z największych, jakie kiedykolwiek widział, mającej przynajmniej dwanaście metrów długości — znajdowała się w rzece, a druga leżała na błotnistym brzegu. Czarna skóra gada błyszczała od wilgoci. Musiał czaić się pod powierzchnią, kiedy dziewczynka przyszła nabrać wody. Przychodzące nad rzekę pekari, kapibary i leśne jelenie często stawały się łupem tych olbrzymich węży, jednak anakondy rzadko atakowały ludzi.

Ale Nathan był etnobiologiem i podczas swojej dziesięcioletniej pracy w amazońskiej dżungli nauczył się, że jeżeli zwierzę jest bardzo głodne, zwykle zasady przestają obowiązywać. Tym światem pod zielonym baldachimem rządziła jedna reguła: zjesz albo zostaniesz zjedzony.

Spojrzał przez celownik strzelby i poznał dziewczynkę.

— Boże, Tama!

Była to dziewięcioletnia bratanica wodza, uśmiechnięte, szczęśliwe dziecko, które miesiąc temu — kiedy przybył do wioski — dało mu bukiet dżunglowych kwiatów. Często ciągnęła go za włoski na przedramionach, których nie mieli Yanomami, i nazwała *Jako Basho* — Bratem Małą.

Znowu popatrzył przez wizjer. Dopóki dziecko znajdowało się w potężnych splotach węża, nie mógł strzelać.

— Niech to cholera! — zaklął, po czym odrzucił broń i sięgnął po maczetę u pasa. Odpiął ją i skoczył do przodu, ale anakonda zaczęła już wsuwać się do rzeki, ciągnąc dziewczynkę w ciemną toń. Po chwili krzyki małej umilkły, a na powierzchni wody pojawiły się pęcherzyki powietrza.

Nathan zanurkował.

Ze wszystkich środowisk Amazonii nie ma groźniejszego od wodnego. Pod spokojną powierzchnią rzek kryją się liczne niebezpieczeństwa. W ich głębinach pływają stada obgryzających mięso do kości piranii, na mulistym dnie leżą ogończe, a wśród korzeni i zatopionych pni ukrywają się elektryczne węgorze. Najgorsze ze wszystkiego są jednak wielkie gady, polujące na ludzi — czarne kajmany. Amazońscy Indianie doskonale wiedzą, że nie należy wchodzić do nieznanych rzek.

Ale Nathan Rand nie był Indianinem.

Rozejrzał się i zobaczył w mętnej wodzie przed sobą wijące się sploty, wśród których mignęła mała rączka. Uderzył nogami, sięgnął po drobną dłoń i chwycił ją. Paluszki dziewczynki mocno złapały jego rękę.

Tama była jeszcze przytomna!

Podpłynął do węża i zamachnął się maczetą, wciąż ściskając rączkę dziecka.

Ciemna woda zawirowała i przed jego twarzą pojawiły się czerwone ślepia ogromnego węża. Zwierzę najwyraźniej wyczuło, że ktoś chce zabrać mu łup. Wielka paszcza otworzyła się szeroko.

Nathan gwałtownie odsunął się w bok, jednak nie puścił Tamy.

Szczęki anakondy zacisnęły się wokół jego ręki jak imadło.

Choć ugryzienie ogromnego węża nie było jadowite, siła ucisku jego szczęk mogła mu zmiażdżyć nadgarstek. Zignorował ból i narastającą panikę i skierował maczetę na ślepią stwora.

Anakonda przekreśliła się, pchnęła go w dół i przycisnęła do mulistego dna. Dwustukilowy ciężar pokrytych łuską zwojów wypchnął z jego płuc całe powietrze. Próbował walczyć, ale śliski muł nie dawał mu oparcia.

Po chwili palce dziewczynki zostały wyrwane z jego uchwytu i wąż zaczął odpływać.

Nie... Tama!

Puścił maczetę i zaatakował węża. Jego ramiona zapadały się w muliste dno, ale nie rezygnował. Każdy zwój, który odepchnął, był zastępowany następnym. Zaczynał słabnąć, jego płuca rozpaczliwie domagały się powietrza.

Zrozumiał, że czeka go śmierć — i nie był tym zaskoczony. Zawsze wiedział, że któregoś dnia fatum się spełni. Takie było jego przeznaczenie, przekleństwo jego rodu. Jego rodzice zostali pożarci przez amazońską dżunglę. Kiedy miał jedenaście lat, matkę zaatakowała nieznana gorączka i umarła w małym misyjnym szpitalu. Ojciec cztery lata temu zniknął w lesie deszczowym, pochłonięty przez niego bez śladu.

Wspomnienie rozpaczy, jaką czuł po stracie ojca, wyzwoliło w nim złość. Przeklęty czy nie, nie zamierzał iść w jego ślady. Nie pozwoli, aby dżungla go połknęła! I nie straci Tamy!

Wykorzystując resztki powietrza w płucach, zrzucił z siebie anakondę, wbił uwolnione nogi w dno i zaczął przeć do góry.

Kiedy jego głowa wystrzeliła nad wodę, chciwie zaczerpnął powietrza. Ale anakonda, która wciąż trzymała w paszczy jego rękę, wciągnęła go z powrotem pod wodę.

Tym razem jednak Nathan nie walczył z gadem. Przycisnął uwięziony nadgarstek do piersi i przekreślił ciało, aby drugą ręką móc objąć anakondę tuż za łbem, po czym wbił jej kciuk w oko.

Wąż machnął łbem, wynosząc Nathana ponad powierzchnię wody, i po chwili znowu go w niej zanurzył. Draniu, puść!

Nathan zgiał uwięzioną dłoń i wbił palec w drugie oko zwierzęcia, modląc się, aby to, co powiedziano mu na kursie z fizjologii gadów, okazało się prawdą. Ucisk oczu powinien

za pośrednictwem nerwu wzrokowego wywołać odruch wymiotny.

Pchał z całych sił, popędzany natarciwym rytmem pulsu w uszach.

Nagle ucisk szczęk węża na nadgarstek zelżał i Nathan został rzucony z taką siłą, że poleciał wysoko w powietrze i wylądował na brzegu, waląc barkiem w muł. Odwrócił się i ujrzał wypływający na powierzchnię rzeki błądy kształt.

Tama!

Tak jak miał nadzieję, odruch wymiotny spowodował, że oboje zostali uwolnieni. Wszedł do wody i złapał Tamę za ramię, po czym przyciągnął do siebie jej nieruchome ciało. Zarzucił je na plecy i szybko wyszedł na brzeg.

Ułożył nieprzytomną dziewczynkę na brzegu. Nie oddychała i miała sine wargi. Sprawdził tętno. Było bardzo słabe.

Rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy. Nikogo nie dostrzegł, więc musiał sam próbować reanimować małą. Przed wyprawą do dżungli przeszedł kurs pierwszej pomocy i resuscytacji oddechowo-kръżeniowej, ale nie był lekarzem. Ukłąkł, przekręcił Tamę na brzuch i zaczął uciskać jej plecy. Z nosa i ust małej wyleciała odrobina wody.

Odwrócił ją ponownie na plecy i zaczął oddychanie usta-usta.

Niemal w tym samym momencie z dżungli wyszła Indianka z plemienia Yanomami. Jak wszyscy przedstawiciele jej plemienia, była niewysoka — najwyżej metr pięćdziesiąt — miała czarne włosy przycięte w tradycyjny sposób, „pod garnek”, a jej uszy były poprzekłuwane piórami i kawałkami bambusa. Na widok białego mężczyzny pochylającego się nad indiańską dziewczynką jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

Nathan zdawał sobie sprawę z tego, jak to musi wyglądać. Wyprostował się, ale Tama nagle odzyskała przytomność, zaczęła wypływać z siebie potoki wody, machać rękami i krzyczeć z przerażenia. Spanikowana dziewczynka, tkwiąca jeszcze myślami w horrorze ataku węża, wściekle waliła w niego piąstkami.

— Spokojnie, jesteś bezpieczna — powiedział do małej w dialekcie Yanomami, próbując jednocześnie unieruchomić jej ręce. Odwrócił się do kobiety, aby wyjaśnić, co się stało, ale

Indianka rzuciła koszyk i zniknęła w gęstym listowiu, krzycząc coś przenikliwie. Nathan znał ten okrzyk. Oznaczał on, że jeden z mieszkańców wioski został zaatakowany.

— Wspaniale, po prostu cudownie... — mruknął.

Kiedy przed czterema tygodniami przybył do wioski, aby zapisać medyczną wiedzę starego plemiennego szamana, wódz kazał mu się trzymać z daleka od wioskowych kobiet, bo w przeszłości zdarzały się przypadki, że obcy próbowali się do nich dobierać. Nathan zastosował się do tego polecenia, choć wiele dziewczyn chętnie dzieliłoby z nim hamak. Jego ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, błękitne oczy i jasne włosy były nowością — i atrakcją — dla kobiet tego odizolowanego od świata plemienia.

Na wezwanie Indianki odpowiedziały liczne podobne okrzyki. Nazwę plemienia Yanomami można tłumaczyć jako „gwałtowni ludzie” i jego członkowie byli uważani za bezlitosnych wojowników. *Huyas*, młodzi mężczyźni z wioski, nieustannie stawiali sobie coś za punkt honoru albo twierdzili, że rzucono na nich jakieś przekleństwo — ponieważ dawało im to pretekst do walki z sąsiednim plemieniem albo nawet ze swoimi współplemieńcami. Potrafili wyróżnić w pień całą wioskę tylko za to, że ktoś ich pogardliwie nazwał.

Nathan popatrzył na dziewczynkę. Jak wioskowi *huyas* zinterpretują tę sytuację? Biały człowiek zaatakował jedno z dzieci należących do ich plemienia — i to bratanicę wodza!

Tama uspokoiła się i zasnęła. Jej oddech był równomierny, ale gorące czoło świadczyło o tym, że pojawiła się gorączka. Na prawym boku zaczął pojawiać się ciemny siniak. Jedno dotknięcie wystarczyło, aby stwierdzić, że w czasie ataku anakonda złamała Tamie dwa żebra. Nathan usiadł na piętach i przygryzł dolną wargę. Jeżeli dziewczynka miała przeżyć, potrzebowała natychmiastowej pomocy lekarskiej.

Wziął ją delikatnie na ręce. Najbliższy szpital znajdował się piętnaście kilometrów w dół rzeki — w São Gabriel. Trzeba było ją tam jak najszybciej dostarczyć.

Pozostawał tylko jeden problem — Yanomami. Nie da rady uciec przed nimi z dziewczynką. Znajdował się na ich terenie i choć znał go dość dobrze, nie był tubylcem. Mieszkańcy